Nr. 17. We Lwowie dnia 25. kwietnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

NAD PRZEPAŚCIAMI.

IV.

Mgieł opalowych wiewny len
Otula strome głazy,
A duch nad mgłami zapadł w sen,
W promienny sen ekstazy.

Ponad skalisty wzniósł się loch,
Nad śmierci żlebne cienie,
Stracił zprzed oczu ciała proch,
Wieczności ma widzenie.

Kroplą dżdżu wrócił do swych mórz,
Do pierwotnego łona:
Granice czasu znikły już,
Gdzież przestrzeń określona?

W bezmiarze świetlnych tęcz i łun,
W błękitów, w barw bezkresie,
Cicho sferycznych nuta strun
W słodkich się szumach niesie.

Przesłodkich szumów żaden zgrzyt
Nie skłóci w tym bezmiarze,
Gdzie bezkresowy twórczy byt
Rozlewa swe miraże.

Gdzie tajemniczy, wielki »on«,
Obcy ziemskiemu oku,
Wysnuwa z siebie plonów plon
W nieustającym toku.

Gdzie »on«, co jeden jest i wraz
Miljonem jest miljonów,
Wchłania znów w siebie w ciągły czas
Pierwiastki swoich plonów.

I, niby świetlny, wiewny puch,
Wzniósłszy się do tych szczytów
We śnie ekstazy, ludzki duch
Stapia się z bytem bytów.

I jest z nim jeden i jest z nim
Miljonów miljonem,
Jest w tej jedności, w związku tym
Twórczości wiecznej łonem.

Jak w oceanie, gdy nań zdrój
Promieni zleje zorza,
Każda kropelka blask ma swój
W blaskach wielkiego morza:

Tak duch swem własnem światłem lśni,
W światłości tej bezkresie,
Co jest początkiem ziemskich dni,
Co źródłem życia zwie się.

Dziwnych zespoleń święty chrzest
Natury mu nie zmienia:
On czuje rozkosz, że on jest,
I rozkosz ma tworzenia.

On ma świadomość swoich sił,
On wie, że wnika wszędzie,
Że mu początek obcy był,
Że końca mieć nie będzie.

On w skojarzeniu widzi tem,
Że, jako on, świadomie
Wypełnia ogrom swoim tchem
I mieści się w atomie.

W ten bezgraniczny wszedłszy chram,
On dzisiaj czuje w sobie,
Że żyje dalej w nim, co tam
W ponurym legło grobie:

Słońca i gwiazdy, które już
Zagasły ludzkim oczom,
Ognie rozpierzchłych dawno zórz
W nim swoje blaski toczą.

Długich pokoleń rojny tłum,
Co zginął w czasu fali,
Zgniłych już dębów zgłuchły szum
W nim ciągle żyje dalej.

Barwy zdeptanych dawno ziół,
Traw pokoszonych wonie,
Wody, po których został muł,
Wciąż żyją w jego łonie.

Myśl, co rozparła ludzki mózg,
I instynkt, co był w płazie,
Wielkie uczucie, co od rózg
Zginęło jak w ekstazie;

Wola i zmarły odruch ciał,
Bytów materja wszystka,
Szept, co go z wargi powiew zwiał,
Przelotne drgnięcie listka:

Cały ten bezmiar, bezlik ten
Życioświadczego ruchu,
Co tam snać w wieczny zapadł sen,
Tu wiecznie żyje w duchu.

I on, zlan z bytów bytem on,
On, co w tworzenia niebie
Wysnuwa z siebie plonów plon
I znów go wchłania w siebie —

On, co na słońca wzniósł się perć,
Zrzuciwszy ciał okrycie,
On wie, że złudą li jest śmierć,
A zasię prawdą: życie!

(C. d. n.). *Jan Kasprowicz.*

EDWARD JELINEK.

KRASZEWSKI.

(Ze zbiorku „Odwiedziny Słowian.")

Z czeskiego przełożył Dr. Fr. Krczek.

(Ciąg dalszy).

A rozglądając się następnie po książnicy Kraszewskiego, spostrzegłem niejedno dzieło ze starszej i najnowszej literatury czeskiej. Ze szczególnem upodobaniem ukazał mi nestor Tomka „Dzieje Pragi", których tomy poszczególne skupił z trudnością z różnych stron. Zresztą zawierała bogata książnica Kraszewskiego mnóstwo dzieł z czeskiej literatury, którychby tam snać nikt nie szukał. Szczególnie baczną uwagę zwracał Kraszewski na te dzieła czeskie, z których można czerpać wiadomości o rozwoju kultury czeskiej w przeszłości. Przygotowując wielkie dzieło o dziejach oświaty w Polsce, nie pomijał dziejów oświaty narodu, najbliższego Polakom.

Pogląd Kraszewskiego na sprawy słowiańskie był bardzo trzeźwy. Wolen wszech namiętności i wzniesion nad zaściankowość wszelkiego gatunku, głęboko zapuszczał wzrok w dzieje narodów słowiańskich. Słowo „naród", któregokolwiek ludu dotyczyło, wymawiał z wyrazem podniosłego, szlachetnego spokoju w twarzy. Niema sporów z narodami, bo w każdym narodzie jest ludzkość, a ludzkości należy cześć i mir.

Głęboko w pamięć wraziłem sobie wyrazy, które Kraszewski wypowiedział o wzajemnym do siebie stosunku Słowian: „Należy żałować, że narody słowiańskie, przynajmniej te, które są sobie najbliższe, znają się tak mało; bez znajomości nie może istnieć rzeczywista wzajemność. Niemniej należy żałować, że Niemcy poznają Słowiańszczyznę tak fałszywie i tak niedostatecznie. Gdyby nas znali lepiej — musieliby nas czcić i musieliby nas poważać, bo przeświadczyliby się, że i my jesteśmy narodem, cywilizacyjnie rozwiniętym, że i u nas postępuje się ciągle naprzód. Wszak to, cośmy uczynili i co czynimy, także zasługuje, ażeby zdjąć kapelusz! Ale oni o tem wszystkiem nie mają nawet pojęcia i spoglądają na nas, jako na zacofańców".

O tych prostych wyrazach możnaby szeroko pisać i długo; tyle w nich prawdy i tyle głębokości, że najbardziej chciałbym je widzieć mottem na czele książki, poświęconej rozmyślaniu o stosunku narodów słowiańskich do siebie wzajem i do obczyzny! *)

Pozostaje mi teraz powiedzieć jeszcze parę słów o sposobie życia niezmordowanego pracownika.

Ci, którzy śledzili działalność Kraszewskiego, pytali się nieraz, skąd mąż ten bierze czas na wszystko; niektórzy domyślali się nawet, że Kraszewski ma pomocników, którzy przynajmniej grubszą robotę zań wykonują. Mylnie! Cokolwiek podpisano imieniem Kraszewskiego, to wszystko uczyniła jego ręka; żadnej usługi nie potrzebował, nikogo nie prosił o pomoc. W zbiorze swych rękopisów przechowywał mnóstwo własnoręcznych odpisów i przypominam sobie, żem w ich gromadzie widział między innymi także gruby, prawie tysiąc stron liczący foliant, pisany jego ręką — był to odpis pewnego starego rękopisu, znajdującego się w księgozbiorze Ossolińskich we Lwowie. Wszak już w r. 1838 humorystycznie

*) Tu znów opuszczam dokładny opis mieszkania, pracowni i książnicy Kraszewskiego. *Pr. p. tłum.*

opisywał współpracownik „Tygodnika petersburskiego“ autorską działalność jubilata krakowskiego w sposób następujący: „Gdybyś literki policzył, byłoby miljonów kilkanaście, gdybyś atrament odwilżył, byłoby garncy kilkadziesiąt; gdybyś pióra pozbierał, mógłbyś tysiącem skrzydeł z Warszawy do Ameryki powietrzną odbyć żeglugę: gdybyś papier zgromadził, mógłbyś w któremkolwiek z miast powiatowych wszystkie budowle z wierzchu i wewnątrz wykleić; a gdybyś wszystkie myśli na jeden zegnał rynek, byłby zgiełk, wrzask, hałas i kłótnie, na mil kilkadziesiąt wystarczające“. Tak pisano już przed wielu, wielu laty...

Niezwykła prawidłowość i systematyczność przezwycięża wszystko. Aczkolwiek Kraszewski, jak mówią, nigdy nie był całkiem zdrów i kaszlał ciągle, to przecież nigdy nie przestawał pracować. Dzień za dniem upływał tymsamym trybem, a każda godzina miała swe przeznaczenie. Nawet w chwilach, w których spracowaną, zmęczoną twarzą swą budził obawy przyjaciół i lekarzy nie porzucał swego zajęcia, które mu się stało warunkiem życia. Wstawał rano około godziny ósmej, a już przed dziewiątą zasiadał u biurka. Tam już oczekiwała go „poczta“. Do godziny jednastej przed południem czytał nowe czasopisma, następnie zaś nadeszłe listy, i odpowiadał na nie zaraz.

Nestor pisarzy polskich był zmuszony okolicznościami do poświęcenia korespondencjom nie małej części swego życia i sam zajęcie to, uciążliwe przy tak wielkim nawale innych prac, wiernie opisał w „Tygodniku petersburskim z r. 1841.

Tu mimowoli znów sobie przypominam, że ktoś napisał: „W ciągu lat 50 wydał Kraszewski na porta i telegramy 18.290 rubli“.

Między godziną jednastą a pierwszą przyjmował regularnie odwiedziny, następnie do drugiej przeglądał świeżo przybyłe dzieła i w razie potrzeby odpisywał na resztę listów porannych. Z uderzeniem godziny drugiej siadał do obiadu, który trwał najdłużej godzinę, poczem wychodził na przechadzkę, niekiedy przedtem odwiedzał zbiory artystyczne, a wróciwszy do domu, znów zasiadał do nowej poczty, przeglądał dzienniki, książki, i robił sobie rozliczne notaty. Własna jego praca jeszcze się nie zaczynała. Czas między szóstą a siódmą poświęcał zabawie, zwykle grze na fortepianie, alboteż przechadzając się o zmroku po pokojach, dumał, dumał... o ojczyźnie, o drogich jego sercu, i o pracy, im tylko poświęconej. Przed ósmą wypijał herbatę — i dopiero teraz zaczynała się prawdziwa praca. Wszystko, co dzień cały przedtem czynił, nie było niczem wobec tego, co tworzył w paru wieczornych i nocnych godzinach. Zasiadłszy do biurka, nie dał się już niczem od niego oderwać. Pióro dotknąwszy się papieru, jak pijawka, wytrwało zawsze do końca. Pracował zaś Kraszewski regularnie do północy albo do pierwszej, a więc wszystkiego 5 godzin. A jednak, gdy zmęczony wstawał i odkładał pióro, skończonym był zawsze kęs potężnej pracy! Stos wielkich ar-

Moi przyjaciele za-uralscy.

(Z notatek wygnańca).

(Ciąg dalszy.)

Witając się, trząsł nam ręce długo i wzruszony mówił:

— Ałłach Kierym, Ałłach Kierym... — przyszliście... dobrze... Achmet — rad... Może chcecie kumysu, a — może mleka... Baran „Apajka“ — poszła rżnąć... później będzie...

Wprowadził nas następnie uroczyście do „jurty“ — i prosił, byśmy wypoczywali.

Rzuciliśmy okiem na to stepowe mieszkanie Achmeta. W głębi „jurty“ dostrzegliśmy nizki, mały tapczan, na którym przewracały się, zupełnie nagie, dwa najmłodsze dzieciaki Achmeta. Kirgiz poszedł do nich, — przykrył je wojłokiem i troskliwie zaczął o coś pytać... Tu i ówdzie w innych miejscach „jurty“ stały rozmaite sprzęty domowe i narzędzia, niezbędne w życiu koczowników: sakwy, czasze drewniane, małe i duże, do picia kumysu, tursuki (wory skórzane), służące do przechowywania tego świętego napoju itp.... Na ścianach wisiały flinty starożytne, noże ozdobne, nahajki, arkany etc.... Kupy betów rozrzucone były po kątach „jurty“; jedna z nich miała służyć nam za siedzenie. Usadowiliśmy się na niej i gawędziliśmy żywo z gospodarzem.

Tymczasem zaczęli się schodzić mieszkańcy innych „jurt“, znajomi i współrodowcy Achmeta, zaproszeni przez niego na nasze przybycie. Starsi witali się z nami uroczyście, lecz uprzejmie, młodsi cisnęli się u wejścia „jurty“ — wszystkich bowiem nie mogła pomieścić — wyszczerzali do nas białe zęby i uśmiechali się życzliwie.

Przyszła wreszcie i „Apajka“ Achmeta, piękna, wysmukła kobieta stepowa, z twarzą śniadą, wichrem osmaloną, zgrabna i poważna w ruchach, pełna godności w całej postawie... Przywitała nas podaniem ręki i poczęła pełnić obowiązki gospodyni. Za nią wniesiono odartego ze skóry, tłustego barana, o którym tyle prawił nam Achmet. Zawieszono go na rożnie nad ogniskiem, roznieconem pośrodku „jurty“; goście rozsiedli się w krąg dokoła ogniska i, przyglądając się pieczącemu się przysmakowi, gwarzyli półgłosem poważnie, mono-

kuszy, gęsto zapisanych, leżał po prawej jego ręce.

Tak mijał dzień za dniem; nieznaczne wyjątki stanowiły święta. Wtedy folgował sobie nieco i oddawał się „zabawie“ — mianowicie bawił się rysunkami, malarstwem, muzyką, nawet rytownictwem...

(Dok. nast.).

MICHAŁ WOŁOWSKI.

OBCY.

OBRAZEK.

(Dokończenie).

— Tęsknota! Byłem prawie tego pewny! Mój kochany, jeśli ja mogłem się już z tych błazeństw wyleczyć dawno, to sądziłem, że i ty, jako starszy, na taki czyn się zdobędziesz.

— Ha, może się i zdobędę! a nawet się już zdobyłem i dlatego chciałem cię prosić, abyś mi na początek dał jakie miejsce w twoich fabrycznych zakładach, żebym się mógł czegoś praktycznego nauczyć, skoro dotąd uczyłem się tylko samych rzeczy niepraktycznych.

— Byłoby to niezłe, gdyby było możliwe. Powiadasz, że nic nie umiesz.

— Istotnie, nic nie umiem.

— Więc mój kochany, żądasz rzeczy niepodobnych do spełnienia. Przyjmując cię do swych zakładów, musiałbym cię traktować, jak każdego człowieka obcego, który do mnie z tem żądaniem przychodzi. Za ubogi jeszcze jestem, abym mógł rozdawać synekury, za ubogi również, abym przyjmował do siebie ludzi, nic nie umiejących, więcej byś mi zrobił szkody, aniżeli pożytku, ja muszę się liczyć z warunkami, w jakich się znajdujemy.

— Aha! — przełknął Bronisław, — uważasz więc, że moja praca w twoich zakładach byłaby z twoją stratą.

— Naturalnie!

— Cóż więc mam czynić?

— Bo ja wiem! Prowadziłeś dotąd takie jakieś rozczochrane życie, że doprawdy nie wiem, czy ci się uda wtłoczyć w formę praktyczną, konieczną, aby czemś być nareszcie.

— Ztąd wniosek, że najlepiejby było, abym sobie w łeb palnął, lub się obwiesił.

— Tego nie powiedziałem!

— No, ale ja innej rady w twych słowach dopatrzeć się nie jestem w stanie.

— Znów egzageracje. W naszem społeczeństwie, jest mnóstwo takich, jak ty, osobników. Nie wesołe ich role, to prawda, skazani są na wymarcie, gdyż zrobić czegoś dodatniego już nie zdołają.

— Rozumiem.

Ta rada ostatnia, która nie była czem innem, jak tylko potwierdzeniem tej konkluzji, do jakiej przyszedł sam Bronisław, poruszyła go niezmiernie. Na taki wysoki stopień poprawy

---

tonnie, lecz bezustanku. Gospodarz zajęty był nami, gospodyni napełniała wciąż czasze kumysem... Uczta się rozpoczęła.

Achmet odrzynał nożem, co najlepsze, najtłustsze kawałki barana, brał je pięcioma palcami i nakładał nam do ust — co podług zwyczaju kirgizkiego, było dowodem wielkiej miłości do nas — i mówił za każdym razem:

— „Jedźcie, gołąbki — spożywajcie... Bolak przyszedł n a s t r o n a kirgizka, to Bolak brat Achmeta...

Krążący, bez przerwy, w czaszach kumys rozmarzał powoli głowy Kirgizów — wesołość zaczęła wszystkich ogarniać.

Achmet opowiadał zgromadzonym jakieś ucieszne, widocznie, dykteryjki, gdyż wszyscy wybuchali szczerym śmiechem, — od czasu do czasu jednak wciąż zwracał się ku nam, widać było, że chce się nas o coś zapytać, ale waha się i namyśla, czy wypada?... Wreszcie, jak najniespodziewaniej w świecie, jakby pozbywając się nieznośnego ciężaru, rzucił nam, wśród ogólnej ciszy, pytanie:

— A was za co zesłali?... Za — kradzież?... — dodał nagle, nie czekając naszej odpowiedzi.

Odruchowym wybuchem śmiechu — tak nam wydało się to zabawnem — odpowiedzieliśmy na pytanie. Poczciwy Kirgiz znał tylko jeden powód wygnania: kradzież: za nią głównie wyganiano Kirgizów w stepy tobolskie, sądził więc, że i nas to samo spotkało. Zawstydzony Kirgiz nie wiedział, z czem się teraz odezwać...

By przerwać tę ciężką dla wszystkich ciszę, a chcąc powód naszego wygnania uczynić zrozumiałym współbiesiadnikom, zerwałem się na nogi i całą mocą swych piersi, wyrzuciłem z siebie jednym tchem:

— Słuchajcie mnie, Kirgizy!... — Zesłali nas za to, żeśmy na wojnę poszli przeciwko Chanowi moskiewskiemu. — Pamiętacie, Kirgizy, jak niegdyś wasi ojcowie, w 50,000 kibitek — na wojnę wyszli przeciwko niemu? — Pamiętacie — jak was później – za to rżnięto, bito, arkanem pętano, jak zabrano wam step, „załusy wasze“ niepokojono i czynowników chańskich kazano słuchać...

(C. d. n.).

zdobyć się w tak krótkim czasie jeszcze nie umiał, aby nie zrodziła się w nim opozycja. On czuł jeszcze w sobie życie, energję i gotów był rzucić się do każdej pracy, choćby najcięższej, żeby dowieść bratu, że się myli, dowieść wszystkim, że w tej ogólnej rodzinie nie jest zbytecznym — obcym.

— Do krocset! — zawołał, — ależ nie mam ochoty sobie w łeb jeszcze strzelać, ani żyć jak pasorzyt!

Stanisław w odpowiedzi na ten wykrzyknik wzruszył tylko ramionami i po chwili dodał:

— W każdym razie przyznać musisz, że w stosunkach, do jakich wróciłeś, musisz się uznać za obcego.

— A tak, za obcego, to prawda.

— Trzeba więc najpierw przyjrzeć się temu, co zmieniono, co się dzieje, zaakomodować do nowych warunków, a potem dopiero będziemy mogli mówić o tem, co ci dalej czynić wypada.

Taka połowiczna propozycja nie zadowoliła jednak Bronisława. Chwilkę pomyślał i praktyczność do głowy mu wróciła.

— Mój kochany braciszku — zawołał już zupełnie zimno, — opinji twojej nie podzielam.

— Nie narzucam ci swego zdania.

— Ale skoro nie chcesz mnie przyjąć do terminu w swoim warstacie śród zmienionych dzisiaj warunków, racz obliczyć się ze mną.

— Jakto, obliczyć?

— Przez lat dwadzieścia gospodarowałeś na Zielonej, nietylko jako na majątku własnym, ale i na majątku moim!

— Twoim!?

— Wiesz przecież, że Zielona należała do naszego ojca, że zatem, jako dwaj jego prawi synowie, mamy prawo do wspólnego działu.

— Jakto, do wspólnego działu? Przecież całą swoją schedę odebrałeś od ojca w gotówce przed odjazdem.

— Żartujesz?

— Ale mówię zupełnie serjo!

— Gotówki odebrać nie mogłem, bo wtedy, jak wiesz, ojciec jej nie miał.

— Przecież dałeś mu ze schedy pokwitowanie.

— Symulacyjne!

— Ja o tem nic nie wiem i wiedzieć nie chcę.

Bronisławowi krew nabiegła do twarzy, ręce drżeć zaczęły, przecież się umiał jeszcze pohamować.

— Taak! — zawołał!

— A tak!

— Więc dlaczegóż przysyłałeś mi pensję za granicę?

— Dlaczego? z łaski, abyś z głodu nie umarł.

Bronisława coś schwyciło za gardło, jakby się dusił, przez chwilę długą nie mógł znaleść odpowiedzi na tę rzuconą łaskę, jałmużnę, wreszcie poprawił krawat ua szyji, który go dusił i wycedził przez zęby:

— Jaka szkoda, żeś mi tego nie napisał, żeś mnie o tem nie uprzedził.

— Albo co?

— Nie zwykłem od nikogo przyjmować jałmużny, a więc nie przyjąłbym jej i od ciebie.

— I z głodu umarł!

— Być może!

— No, tego ja nie chciałem i nie chcę, toby szkodziło mojej opinji i moim interesom.

Na serdeczną rację braterstwa, miłości, związku krwi, nie umiał się powołać pan Stanisław, były to bowiem cyfry, nic nieznaczące w jego bilansie.

Bronisław z oczyma krwią nabiegłemi stał teraz wobec brata i pięści zaciskał. Burzyła się w nim krew, burzyło sumienie i wszystko, co tylko szlachetniejszego miał w piersiach.

Przed chwilą takim wielkim kosztem restytuowany gmach trzeźwości w jego głowie, teraz nagle runął, jakby za podmuchem lekkiego wiatru.

- Jakto? więc ta trzeźwość wasza, to pojęcie obowiązków prowadzi do łajdactw, do nikczemności?!

— Bracie, zapominasz się!

— O gdybyś ty tylko tak, bracie, względem mnie chciał się zapomnieć, czegóżbym nie dał za to! Słuchaj, mnie się zdaje, że przeszedłem jakiś sen straszny, jakieś ciężkie marzenie, powiedz mi wreszcie, żem oszalał, że mi się zdawało, że to, co słyszałem, było halucynacją, ale nie odbieraj ostatniej wiary na ziemi, jaką posiadam, wiary w istnienie uczciwych ludzi!

To mówiąc, Bronisław złożył ręce, jak do modlitwy.

— Istotnie — odparł Stanisław, — przypuszczam, że oszalałeś.

— Nie każ mi na siebie patrzyć, jak na oszusta i złodzieja, przecież nosisz to samo, co ja, nazwisko, masz krew tę samą, co ja!

Nie rozumiem twych słów impertynenckich!

— Ty nie wiesz, ty nie mogłeś nic wiedzieć, że moje pokwitowanie było symulacyjnem, nie chodzi mi o pieniądze, ale o cześć twoją raczej.

— Ciekaw też jestem, jakie jeszcze brednie z twoich ust usłyszę.

— Nie, nie, pójdę ztąd, jak przyszedłem, nie usłyszysz o mnie więcej, będę pracował,

jak prosty robotnik, ale mów do mnie teraz, dziś, inaczej...

— Mówię tak, jak mówić powinienem.

— I nie dasz się przekonać?

— Nie.

— Przebłagać?

— Dajże mi nakoniec pokój święty.

Bronisław ukląkł, przyczołgał się do nóg brata, szlochać zaczął.

— Patrzaj — mówił, — jam u nóg twoich, nie proszę o nic, tylko pozostaw mi wiary trochę! Życie moje nie długie, ale ja czuję, że bez niej piekło mnie pochłonie, że będę najniegodziwszym z ludzi, że się dopuszczę strasznych czynów.

— Na takie zapowiedzi, paragrafy kodeksu kryminalnego mają odpowiedź. Proszę cię, nie rób komedji, gdyż zmusisz mnie...

Teraz Bronisław, jak pantera, zerwał się z ziemi.

— Do czego cię zmuszę, łotrze!

— Do niegrzeczności we własnym domu.

— Dobrze! nikczemniku, wołaj twoich ludzi, każ brata rodzonego za drzwi wyrzucić, psami wyszczuć. Ale dosyć już mej łatwowierności, o dosyć! Przez Bóg żywy, doprowadziłeś mnie do ostateczności, chcesz procesu, będziesz go miał, chcesz zbrukanego nawiska, będziesz je nosił. Świadkowie są, że akt symulacyjnie wydałem, oni staną, oni ci powiedzą, żeś mienie brata zagarnął i na niem tuczysz swoje ciało...

— Tere, fere — zastawiając się stołkiem, zawołał cynicznie Stanisław, — choćby i tak było, to wiedz pan o tem, że Zielona została wystawioną na subhastację, że z hipoteki spadły wszystkie długi, że w dziedzictwie dla nas obydwóch było zero, i że to zero nabył baron Bibersztejn.

— Nowe łotrowstwo!

— Skoro tak czyn ten nazywasz, niechajże i tak będzie, ale gdyby nie to łotrowstwo, za granicą byś z głodu umarł.

Bronisław chwycił się za głowę, teraz na serjo uczuł jakieś gwałtowne uderzenie, pod którem aż się zatoczył.

— Milcz, milcz, łotrze! Nic wiedzieć więcej nie chcę; z tą pogardą dla ciebie lżej mi będzie, niż z tą, którąbym mieć musiał, dla siebie gdybym twych trzeźwych, uczciwych słuchał opowiadań.

Potem oparł się o ścianę, dziki wzrok w brata wlepił i tak przez chwilę niby pod pręgierzem go trzymał.

Była chwila, w której czuły braciszek chciał chwycić za sznur od dzwonka, prowadzący do służby, aby ją przywołać, zdawało mu się, że Bronisław rzuci się nań, że go zdusi na miejscu.

Ale Bronisław o tem nie myślał, on szukał w ustach swoich, spieczonych gorączką, śliny, aby bratu nią za nikczemność zapłacić.

Nareszcie z całych piersi zawołał:

— Tfu!... masz, łotrze! oto moja odpowiedź na wszystko, co od ciebie słyszałem. Żyj w tłuszczu i nikczemności, które sam zgotowałeś. Używaj podle zdobytego majątku, krzywdź ludzi, a prędzej, czy później kara boska cię nie minie za splamione nazwisko, uczucie, tradycje i moje złamane życie.

Tu Bronisław silnie plecami popchnął drzwi i na dziedziniec wybiegł.

— Szaleniec! Bydle! — ozwało się za nim na pożegnanie z ust trzeźwego brata.

— Koni natychmiast, koni! — wołał, jak szalony Bronisław na podwórzu, ale nikt go nie słuchał, nikt nawet uwagi na przybysza nie zwracał.

Niebo było ołowiane, wiatr zaczął świszczeć.

W Zielonej brakowało poczhaltera i koni, za które możnaby zapłacić.

— Jeżeli, uważasz, będzie ci tam bardzo niedobrze w tej Zielonej, powracaj... poradzimy — brzmiały ostatnie słowa poczchaltera, wypowiedziane do Bronisława na pożegnanie i teraz wystąpiły mu przed oczy, niby duch ratunku, zbawienia.

— Zapomnienia, zapomnienia! — wołał, gdy się dowiedział, że koni nie dostanie.

— Ha! pójdę piechotą, za nic tutaj nie zostanę, za skarby świata! oszalałbym! zmarniał!

I przeszedł wierzeje, nie żegnany przez nikogo, nie żałowany.

Wiatr nawiewał z Północy tumany pary mroźnej. Zadymka wracała na nowo, jak to mu rano przepowiedział pocztyljon.

On z żywiołem się nie liczył, zdawało mu się, że mniej groźny, niż złość i nikczemność ludzka.

Skierował kroki w stronę, zkąd przybył, biegł z początku, ile mu sił starczyło.

Gdy stanął na wzgórzu, zatrzymał się i obejrzał: kominy fabryczne w śnieżnej zadymce majaczyły tylko.

— Obcy dla wszystkich, obcy! — mruknął do siebie i westchnął głęboko.

Tuman śnieżycy ostro w twarz mu zawiał.

Apatja teraz dziwna ogarnęła jego umysł, nie myślał nic i spuszczał się krokiem miarowym, spokojnym ze wzgórza ku nizinom.

Zadymka szaleć poczynała.

Nad nim, obok niego i za nim nic więcej, tylko kłęby dymu kręciły się w sposób szalony, nie pozwalając mu nic widzieć.

Przystanął... Nie chciało mu się iść dalej. Śnieg zasypywał mu nogi, — on stał: potem już cała zaspa śniegu pasa dosięgała, nie ruszył się z miejsca, — wiatr dął przeraźliwie — nie zasłaniał się przed nim.

Anioł śmierci, dobry, łagodny nadchodził ze swym snem rozkosznym.

Bronisław mu się nie bronił, uśmiechał się do niego, oczy przymykał, marzył, pewnie rozkoszniej, niż na ziemi i zasnął.

Przetrwał cięższe mrozy i zimna, a skonał dopiero od zimna serc swoich, dla których był już obcym.

Gdyby jednak zmartwychwstał, może za lat niewiele „swoich“ byłby odszukał.

FANTAZJA.

I.

Cóż mi ze słońca, co świeci na niebie?
Kiedy nie mogę, szczęście, dojrzeć ciebie!
Cóż mi jest z kwiatów, co wiosna przynosi,
Cóż mi jest z deszczu, co tak mile rosi?
Cóż mi jest z wonnych tchnień wiosny uroczej:
Wciąż tylko smutek łzą przyćmiewa oczy!!

II.

Senne rozkosze!
O złote nadzieje
Onych serc młodych,
Co nie znają świata.
Im się wydaje —
Że przyszłość się śmieje,
Choć może los im...
Z cierni wieniec splata!
Póty trwa szczęście,
Póki kwitną kwiaty
Nadziei złotej,
W przyszłości nieznane,
A kiedy zwiędną
Bole i tęsknoty
Krwawą zadają nam ranę.

Ze śląskiej ziemi.

VII.

Wdzięcznie wygląda ta moja „izbeczka na werchu“, przeznaczana zazwyczaj w chatach śląskich na mieszkanie dla *wymowników*, to jest leciwych rodziców, spędzających resztki życia na dożywociu przy dzieciach. Ściany, obite gładko heblowanemi deskami, mają barwę i połysk bladego złota. Przez całą szerokość sufitu biegną dwa szerokie bale, ozdobione w środku i po obu końcach oryginalnym, rżniętym w drzewie ornamentem. Tegoż typu ornament okrywa drzwi i odrzwia. O upodobaniach artystycznych istebniańskich górali mówi niemniej całe umeblowanie izbeczki: stół, stołki, skrzynia, półki, wykończone nader wykwintnie pod względem technicznym, a zdradzające w każdem zacięciu, w każdej linji samorodny, pełen charakteru styl góralski.

Tak, zaiste, wdzięcznie wygląda „izbeczka na werchu“, w której upłynęło mi parę miesięcy czasu niepostrzeżenie, jakby wietrzyk górski przewiał. A teraz, kiedy za chwilę wypadnie mi ją opuścić, kiedy ogarniam jej wnętrze spojrzeniem pożegnania i żalu, złotawe ściany zdają się rozsuwać, rozszerzać i rojnie zaludniać. Przybywają tu do mnie — na potężne zaklęcie wspomnienia — krom przyjaciół istebniańskich, ci wszyscy, przez których i dzięki którym droga ziemia śląska stała mi się droższą, a wiara w jej przyszłość silniejszą. Jest więc w tej wybranej drużynie i Jan Kubisz, lirnik śląski, strojący swoją lirenkę na czysty, na wysoki ton miłości ojczyzny; jest i zacny pastor Michejda, zasłużony redaktor znakomicie i w szczerze polskim duchu redagowanych pisemek ludowych; są i znani szeroko z pięknych cnót obywatelskich pp. Glajcarowie i Górniakowie z Sibicy, pod których dachem spędziłam niezapomniane chwile, — chwile, co dały mi poznać, czem jest lud wiejski na Śląsku; jest nakoniec liczny zastęp nauczyli ludowych, grupujących się w „Polskim towarzystwie pedagogicznem“, a niosących śmiało i wysoko „przed narodem oświaty kaganiec“...

A sielskie ściany *izbeczki* tworzą nietylko wdzięczne, lecz i właściwe tło dla inteligencji, przodującej dziś Śląskowi w jego dorobku umysłowym, wyszła ona bowiem z łona ludu, z chat, w których wzięło początek wszystko, „co było i będzie“.

Te właśnie, mocniejsze od twierdz niezdobytych chaty, które, stawiąc od sześciu wieków zwycięskie opór wrogom, przechowały pod swoją strzechą zwyczaje, mowę, uczucia polskie, — te chaty czynią ze Śląska ziemię rdzennie polską.

I dobrze, swojsko na tej ziemi wędrowcom, z innych dzielnic Polski przybywającym, i smutno, żałośnie ją żegnać...

A jednak żegnać trzeba...

Przez okno *izbeczki*, przybrane, zamiast firanek, w festony choiny i kraśne bukiety jarzębinowych jagód, dostrzegamy na srebrzystem tle szybko opadającej mgły porannej zaprzężony w siwego konika, oczekujący na nas wózek góralski. Właściciel wozu i konia, wspominany niejednokrotnie przyjaciel Jan Sku-

rzok, przechadza się żwawym krokiem tam i napowrót przed domem i zaciera ręce nietylko z powodu rzeźwego chłodu, lecz potrosze i niecierpliwości.

A więc obracamy pośpiesznie klucze w zamkach upakowanych już oddawna kufrów podróżnych i zbiegamy na dół. Tu następuje serdeczne pożegnanie z gazdoszkiem, gaździnką, ich dziećmi i najbliższymi sąsiadami. Gaździnka zaopatruje nas na drogę w rozmaite przysmaki: wsuwa do torby podróżnej pieczone kurczęta, bryndzę, suszone grzyby, powtarzając przez łzy: „Malućko, ale wdzięczniućko". — Gazda odprowadza — wedle zwyczaju — do najbliższego krzyża, wznoszącego się w cieniu lip olbrzymich.

Dzień zapowiada się prześliczny. Przez lekką oponę mgły prześwieca błękit nieba, a na wschodzie z za krawędzi gór wychyla się bezpromienne jeszcze słońce, podobne do świetnej kuli.

W łagodnych jego blaskach posuwamy się dalej. Z mijanych dworów wychodzą gazdowie i żegnając przyjaznemi uściskami ciepłych jeszcze od snu rąk, składają życzenia „szczęśliwej cesty" i powrotu „na rok". Na ostatnim krańcu „dziedziny" przed *Wojtaszami*, oczekuje nas liczna gromadka, złożona z najżyczliwszych przyjaciół. Jest tu i Śliwka, góral-literat, i Michał Juroszek, zawołany bajczarz, i Jan Przygoniak, najsławniejszy na Izdebnem *gajdosz* (kobziarz), i hoża jego gaździnka z dziećmi, zbudzonemi niezwykle wcześnie wskutek niezwykłych okoliczności, jest i młode małżeństwo Kukuczków.

Po tem ostatniem pożegnaniu tracimy z oczu mieszkańców Izdebnego, tylko przez pewien czas postępuje jeszcze za wozem mała Marynka, córka gajdosza, w długiej do ziemi, różowej sukience, z różowszą od niej twarzyczką i paluszkiem w buzi. Ale odległość, dzieląca ją od nas, wzrasta z każdą chwilą, aż w końcu drobna, barwna postać wsiąka w opary, ważące się, niby ptaki ze zwichniętemi skrzydłami, tuż ponad ziemią.

Teraz już tylko pola, drzewa, góry dokoła.

Na wysokiem zboczu Ochodzitej, na które wspina się szosa, przed granicą galicyjską, Skurzok zatrzymuje konia, odgadując subtelnem uczuciem, że zechcemy zapewne z tej wysokości raz jeszcze, raz ostatni „podziwać się na dziedzinem" (spojrzeć na wieś). Jakoż dziwamy się.

Złoty groń, pokryty ściernią, lśni w słońcu, jak gdyby był naprawdę ulany ze szlachetnego kruszcu, rozrzucone dokoła niego „dwory" odcinają się wyraźnie na tle ogrodów owocowych i leśnych drzew liściastych, otaczających budynki. A niemal z każdym z owych „dworów" wiąże się jakieś dobre wspomnienie. Tu prowadziliśmy długie rozmowy o śląskich sprawach w ogólności, a izdebniańskich w szczególności ze światłym kierownikiem szkoły, p. Granią i z ks. Firlą, uwielbianym przez parafjan z Izdebnego, Koniowa i Jaworzynki „paterkiem" czyli „kapłankiem", jak górale nazywają wikarych dla odróżnienia ich od „wielebnych", to jest proboszczów. Tam słuchaliśmy oryginalnej muzyki i śpiewów góralskich. Tu bawiliśmy się wybornie na weselu, przyglądając się malowniczym tańcom miejscowym, jak: owięziok, kowal, zbójnicki. Tam — i to wspomnienie należy do najdroższych — przyjaciele górale gromadzili się w popołudnia niedzielne na pogadanki historycznej treści, przysłuchując się opowiadaniom o dziejach wspólnej nam ojczyzny z uwagą i przejęciem, które czyniły z nich najwdzięczniejsze pod słońcem audytorjum.

Kojarzenie się pojęć na zasadzie przeciwieństwa budzi, obok tych reminiscencji, wspomnienie chwili przyjazdu do Izdebnego. Jakże niepodobnym jest rzeźwy, słoneczny ranek dzisiejszy do owej ciemnej, dusznej, burzliwej nocy! I jak znaną, jak bliską sercu wydaje się nam dziś ta ziemia śląska, która nie skąpiła nam ani kwiatów, ani miłych wrażeń — ni wspaniałych obrazów natury, ni podniosłego widoku zacnych usiłowań ludzkich...

M. Wysłouchowa.

Błędy językowe.

17. *Jak* niepotrzebnem jest na początku takich zdań: „Jak nam donoszą z...", „Jak piszą z...", „Jak słychać...", itp. Prościejby było i z logiką zgodniej: Donoszą nam z...", „Piszą z...", „Słychać, że...".

18. Coraz się więcej upowszechnia u nas szyk niemiecki w zdaniach głównych, poprzedzonych zdaniem podrzędnem. Nikt nie napisze inaczej, jak: „Autor postanowił zmienić układ dzieła swojego"; dziwacznemby się wydało tak np. napisać: Postanowił autor...". Otóż w razie, gdy umieścimy przed tem zdanie inne, np.: „Po przeczytaniu kilku krytyk", to i wtedy nie należy zmieniać porządku wyrazów i pisać trzeba: „Po przeczytaniu kilku krytyk, autor postanowił zmienić układ dzieła swojego". Lecz od pewnego czasu wkrada się do nas zwyczaj przestawiania w takich razach wyrazów w zdaniu głównem, zwyczaj, który w języku niemieckim jest prawidłem, ale u nas jest tylko wyjątkiem. Piszą tedy niektórzy stale: Po przeczytaniu kilku krytyk, p o s t a n o w i ł a u t o r zmienić...". Nie przeczymy, że wolno i po polsku tak pisać; ale protestujemy przeciwko s y s t e m a t y c z n e m u pisaniu w ten sposób i przeciwko o b r a c a n i u tej tolerowanej tylko dowolności w p r a w i d ł o.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie